ROK TRZECI.

№ 33.

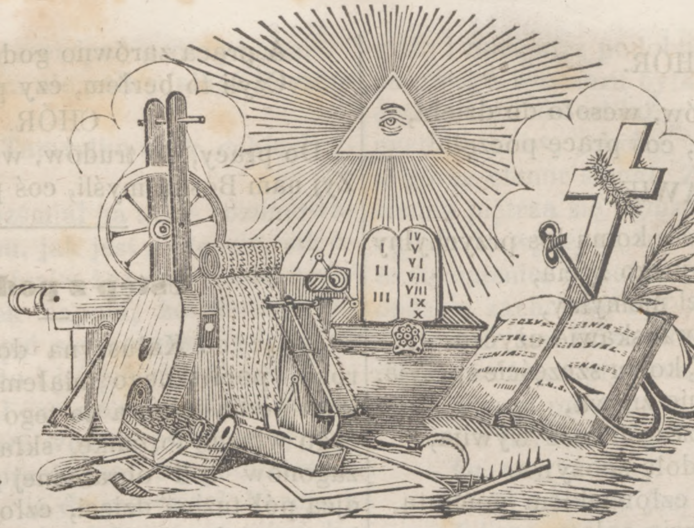
Warszawa

Dnia 3 (15) sierpnia

1858.

Niedziela

12ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo)..

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący a miłosierny Boże! z którego daru pochodzi, iż wierni Twoi godnie i chwalebnie Ci służą, dozwól, prosimy Ciebie, iżbyśmy do odziedziczenia Twych obietnic skwapliwie biegli bez wszelkiej obrazy. (Kollekta na niedzielę dwunastą po Świątkach)

Poranek rzemieślników.

(Dokończenie— patrz nr. 32 Czytelni).

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

MŁYNARZ.

Płynie woda, kręcąc kołem,
Koło kamieniem obraca,
A kamienie te pospołem
Mielą chleb, dobra to praca.

Szemrze struga, pluszcze koło,
Ponad stawem łączki moje;
Tu mi życie mknie wesoło
Za mój cichy trud i znoje.

Czy to ranek, czy wieczorek,
Jakaż wrzawa, łoskot jaki!
Słyszy go dwór, słucha borek,
Radzi ludzie, rade ptaki.

I ja sam rad z młynka, z siebie,
Siadam na pniu ponad wodą,
Patrzę w księżyc, co po niebie
Gwiazdki go poranne wiodą.

Wtedy dumam napół senny,
Dumki biegną, drżą, znikają,
Jakby pyłek biały, pszenny,
Przepadają, powracają.

Czasem myślę: dobry Boże!
Jakto miło żyć na świecie,
Gdy dla ludzi człowiek może
Być z pożytkiem... a to przecie

Winno godzić człeka z losem,
Weselić chrześcianina;
Czyż to szczęście brzękać trzosem,
Który krzywdy, łzy wspomina?

Lepsza stokroć praca własna,
I grosz potem swym nabyty;
Mir sumienia i myśl jasna,
To nabytek niespożyty.

Bóg tam z nimi, z niedobremi...
Będę robił po swojemu,
A z przykazy niebieskiemi,
K' woli kościołowi swemu.

Dość już tego odpocznienia,
Przetak zamilkł, a ja gadu;
Jeszcze wsypię do kamienia
Białe zboże bez pośladu.

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

KRAWIEC.

Nie na tem mądrość, komu los przychylny
Dozwala zażyć spokojnego życia,
Komu fortuna daje cel niemylny,
A wszystkich środków łaskawie użycza.
Nie na tem mądrość, komu szczęście sprzyja,
I złotej nitki ni razu nie zrywa,
Komu jak z kłębka szczęśliwość wywija,
A ten spokojnie swą dolę spożywa.
Lecz, gdy złe losy człowiekiem pomiotą,
A przeciwności mu życie oplotą,
Gdy wystawiony na okropne próby,
Nie traci męztwa i nie wini nieba;
Zgodnie z losami, unikając zguby,
Rąk nie opuszcza dla zarobku chleba.
Boże! Tyś skazał człowieka na trudy,
A los nań jarzma nierówne powkładał;
Ty zwracasz oko na strudzone ludy,
I czuwasz, by los zły nadto nie władał;
Dopomóż zostać w zawodzie statecznym,
I dodaj siły przebycia tej drogi,
Bo pod Twem skrzydłem tylko człek bezpiecznym,
Przy Twojej łasce każdy zawód błogi.

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

—

Boże! rządź stanem roboczym,
Wspieraj te dłonie w mozołach,
Daj chęć z wytrwaniem ochoczem,
Z radością na znojnych czołach.

Aby przejęty ufnością
W owoce swojego dzieła,
Z spokojem, zgodą, miłością
W Imię Twe brał się do dzieła.

* * *

Czcigodna pracy, podporo ludzkości,
Ziarenko Bożej myśli!
Myśmy tu z jednej wielkiej opatrzności,
Wszyscy na pracę przyśli.

Wlej Ojcze! w ludzi myśl zgodną:
Że trud żywota jest długiem,
A praca zarówno godną,
Czyli to berłem, czy pługiem.

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

Ustęp z podróży.

—

Jadąc od Kałuszyna do Węgrowa w tym roku, pociesznego miałem furmana, czystej krwi podlasiaka, a do tego szlachcica mającego własną fortunkę, składającą się z kilku zagonów roli obrabianej dwiema krowami, ojca pół tuzina dzieci, człowieka zresztą pobożnego, lecz zabobonnego i dobrego znać serca, bo sobie w miasteczku trunków nie żałował. Podróż moję odbywałem w początkach maja, kiedy to panowały w Warszawie i po kraju nadzwyczaj silne wichry, porywające z sobą chmury kurzu i unoszące je wysoko nad ziemię, a często i wyrywające drzewa z korzeni. Dumając drogą, gdy nie było co lepszego robić, mimowolnie zaszedłem myślą w owe skwarne kraje, gdzie to bez porównania większe słupy piasku mają padać na ziemię, śmierć ludziom niosąc; lecz furman mój na każde podniesienie się chmurnej kurzawy przed końmi i wstrząśnięcie bryczki wichrem, zdejmował czapkę i żegnał się ciągle.

— Dlaczegóż się tak często żegnacie Szymonie, spytałem, wszak tu rzadko krzyże spotykamy?

— Jakże się nie żegnać, rzekł, kiedy wciąż djabeł wichrzy i tańcuje w piasku; może zawiać tego, kto się nie przeżegna.

— I wy wierzycie temu?

— Ha! kiedy wszyscy wierzą, to i ja muszę wierzyć.

— Wieleż to rzeczy niegodnych wiary uważają ludzie za rzecz niemylną, np. prawie wszyscy na wsiach i wy pewnie z nimi myślicie, że w wódce jest największa uciecha?

— Ja tam, mój panie wódki nie pijam.

— Czy rzeczywiście?

— Tak, proszę pana, zarzekłem się nie pić ani kropli wódki.

— Jednakże widzę, że i wam coś w głowie dzisiaj zawichrzyło?

— To *aksencya* (esencya) proszę pana.

— Więc nie kijem ale pałką; alboż to esencya nie wódka?

— A jużcić nie. Tam tylko arak, cukier i cytryny wchodzą.

Któżby się nie rozśmiał na takie rozumowanie? Dowodziłem mu, jak jest w błędzie, jak oszukuje własne sumienie; że tu nie chodzi o nazwisko, ale o skutek napoju, że choćby kto i wody uroczyście pić się zarzekł, gdyby ta głowy zawracała, to i jej pić się nie godzi.

Szlachcic słuchał czy nie słuchał, nie wiem; ale kiedy nam znowu wicher potężnie sypnął piaskiem w oczy, przeżegnał się podawnemu i rzekł stanowczo, iż do pierwszej karczmy zajechać trzeba, nim się wicher nie uspokoi, bo z djabłami trudna sprawa.

— Wodę warzyć, woda będzie, pomyślałem; otóż doświadczam na sobie szkodliwości zabobonów naszego ludu, w czasie gdy mi podróż tak pilna. Jednakże musiałem się zgodzić na zamiar upartego i podpiłego szlachcica i popasać po ćwierci mili podróży.

Wjechawszy w lasek, zawróciliśmy do stojącej nade drogą karczmy; stało tam już kilka fur wracających z targu: jedni poili konie u studni z żórawiem, innym w kuźni kowal konie podkuwał, a stojąca przed małym domkiem brodata koza, zdradzała mieszkanie również brodatych jej panów.

W karczmie i na dworze był gwar niesłychany, objawiający, że nie naprożno szyld wybladły z flaszami wymalowany nad sienią wisi. Potwierdził to jeszcze w tej chwili wyszły na próg mężczyzna w długiej z szamerowaniem, zielonej sukmanie, z kaszkietem nabakier na głowie, który na całe gardło w las posyłał słowa zwrotki:

Hej! kobyłeczka siwa ogoneczkiem kiwa,
Oj! jakże nie ma kiwać, kiedy jeszcze żywa! Hu!

Poczem postąpił kilka kroków, potoczył się i upadł w cuchnącą przed sienią kałużę. Smutnie spoglądałem na niego, gdy go inni także podpici z wody wyciągali i nazad do karczmy tłoczyli. Sądzę, że nie trzeba większego dowodu upodlenia się opilstwem, nad ten wymowny przykład.

Na szczęście moje wiatr zaczął się uspokajać, chociaż zachodzące w płomienne chmury słońce, według wiejskiej przepowiedni rokowało i nazajutrz podobneż wichry. Prześliczna owego wieczoru była zorza na niebie. Żaden malarz nie oddałby tych samych świetnych kolorów, jakiemi Pan Bóg pomalował te górne chmur smugi. Zdawało się, że ponad ziemią piętrzą się ogniste miasta, wieże, lasy i góry, że wyżej płyną wspaniale, blado, złote strumienie, a jeszcze wyżej srebrne wstęgi opasują zachodnie niebo.

Powoli się zciemniło, wjechaliśmy w las drugi, woźnica przerwał milczenie.

— Słyszy pan? nowa bieda!

— Co takiego?

— Ot, tam w lesie!

— No, i cóż tam jest przecie?

— Jak to sowa huczy!

— Oj! pleciecie trzy po trzy, Szymonie! niechże sobie huczy.

— Ale ba! pan się pewnie będzie wyśmiewał, a to djabeł w sowie ukryty tam gdzieś majaczy i zbił nas z drogi; bo też taki dziś bardzo ciemno. I zaczął szeptać jakieś słowa zaklęcia.

— Ależ wy sami nie majaczcie; lepiej zejść z bryczki i iść przed końmi, niż grzeszyć i pleść niedorzeczności, a wiecie zresztą, że podróż moja pilna.

Upamiętał się przecież i upatrując przed końmi drogi, zawrócił niedługo na trakt właściwy.

— Że też to, rzekł, ze wszystkich stron dzisiaj djabli dokuczają!... przeciem niepijany. Ho, ho! znam ja tę drogę, jak dłoń własną, a przecie przyszło trochę zabłądzić.

— Wstydźcie się Szymonie, jesteście chrześcianinem i ciągle o djabłach myślicie; musieliście ich w Kałuszynie z *aksencyą* wypić?

Ba! pan nie wierzy, ale dlaczegóż wszyscy tak mówią, że w sowie djabeł siedzi?

— Chcecie wiedzieć dlaczego? to wam powiem. Otóż za bardzo dawnych czasów, nim ludzie u nas chrześciańską wiarę przyjęli, była inna pogańska wiara, oczywiście fałszywa, ale która kazała wierzyć, że dusza po śmierci człowieka nie idzie na sąd Boga Wszechmocnego, ale przemienia się w drzewa, kwiaty, ptaki i czworonożne zwierzęta. Jeżeli kto żył uczciwie, to mniemano, że dobra jego dusza poszła w zielone drzewo, w piękny kwiat, w gołąbka, orła i t. p.; a jak

źle, to zła dusza żyła w postaci suchej wierzby, wilka, a między innemi i sowy. Uważano więc, że sowa ma w sobie utajonego złego ducha, a to mniemanie, które może przez tysiące lat dawniej trwało, tak się wkorzeniło w lud ciemny, że i teraz, choć nas święta wiara inaczej uczy, myślą po wsiach, że zły duch w wilku, sowie, lub spruchniałej wierzbie siedzi. Spytajcie się zresztą proboszcza, a powie wam to samo, że to jest obrazą Boga, aby złemu duchowi, czyli sowie taką władzę nad ludźmi przyznawać.

— Mój Boże! rzekł zadumany, jakto dobrze mieć *adukacyą* (edukacyą) wiele się rzeczy rozumie. Ja też miałem do szkół chodzić, umiałem już *obiecadło* na *lamentarzu* (abecadło na elementarzu), bo u nas dziady, co chodzą po proszonem, za *zuchelecek* (kawałek) chleba siedzą w chacie i uczą dzieci. Ja się też u nich uczyłem, ale to wszystko poszło na nic; jakem ojczysty grunt dostał, to się i zapomniało o czytaniu, a teraz bardzo żałuję.

Pocieszyłem się, że już coraz trzeźwiej zaczął mówić i prędzej popędzać konie; zagadywałem go o różne przedmioty, a on rozwiązawszy raz język, opowiadał mi o wielu rzeczach: jak był w wojsku i w bitwie pod miastem Liwem, do którego jedziemy, i o cholerze, co biedny lud podlaski przed dwoma laty po wsiach mordowała, mówił i o swoich papierach i o chęci wylegitymowania się na nowego szlachcica; ale, coby mu na lepsze wyszło, nie wyjawiał zamiaru nieupijania się *esencyą*.

Z całego jego opowiadania, sądzę, warto dla przykładu przytoczyć tu następne zdarzenie.

— Ta karczma, mówił, cośmy przy niej w lasku popasali, nazywa się Rozmówka, a ten wysoki, tęgi mężczyzna w siwej kapocie, co tam stał przed kuźnią, mieszkał właśnie przed parą laty w tej karczmie.

Niech jeno pan słucha, co on zrobił, bo to wielki spekulant. Karczma ta z gruntami, kuźnią i tym żydowskim domkiem należała do drugiej jego żony i jej dzieci; on zaś jako ich ojczym i opiekun, rządził tem wszystkiem. Ale jak zobaczył, że pasierbowie dorastają i mogą się niedługo jako pełnoletni upomnieć o swoje, postarał się o żyda faktora, z którym się umówił, że jeżeli znajdzie na to całe gospodarstwo takiego kupca, coby mu je za umową nazad odstąpił, to dostanie 300 złotych faktornego. Żyd przystał, a ojczym się cieszył, że okpi pasierbów, bo sobie umyślił, aby jak najtaniej tę osadę przedać, podzielić pieniędzmi pasierbów, i znowu ją odkupić za tak małe pieniądze; przez co łatwym sposobem przyjdzie do niezgorszej fortunki. Niedługo faktor wystarał się o kupca, który tak, jak sam ojczym chciał, zapłacił tylko 10,000 złotych za osadę, choć dobrze dwa razy tyle warta była. Żeby zaś jakoś nie wystawić się na oszusta przed pasierbami, co już przecie i umieli w świat spoglądać, zrobił przed rejentem prawny akt tej sprzedaży; z kupcem zaś umówił się pocichu, pewnie za przyrzeczonem jakiem wynagrodzeniem, żeby mu znowu toż gospodarstwo później odprzedał.

Toć przyszło do tego, że już rozdzielił pieniądze z przedaży otrzymane między żonę i pasierbów swoich, a niedługo poszedł do nabywcy tej osady, aby mu ją odstąpił. Ale nabywca, znać też frant nieladajaki, pokazał mu tylko akt prawny nabycia na własność osady i nie inaczej chciał mu ją odstąpić, jak za 30,000 złotych, a Bogiem i prawdą warta tego, bo to miejsce na odbyt dobre.

— Widzi pan, ciągnął dalej, jak to sam siebie okpił niedobry ojczym, bo nietylko, że dla żony jego, a zatem i dla niego mniejsza się cząstka z tak podstępnej i lichej sprzedaży dostała, ale jeszcze żyd zapozwał go o te 300 złotych faktornego i wodził póty po sądach, aż mu i koszta i faktorne zapłacić musiał.

Jakto chytrzy i oszuści sami się najprzód ukarzą!

Rozmowa o Jeografii.

(Dalszy ciąg, patrz nr. Cz. 6).

—

A na czém to stanęliśmy, zapytał ojciec swe dzieci, gdy te widząc go wolniejszego od zatrudnień, o ciąg dalszy jeografii dopominać się zaczęły.

Jaś. Tata zaczął opowiadać nam o miastach gubernii Radomkiej, i już wiemy o Radomiu, Zwoleniu i Sandomierzu.

Ojciec. A, teraz już przypominam sobie. Otóż po Radomiu najważniejszém miastem

powiatowém w tej gubernii są *Kielce*, które od roku 1817 do 1845 były stolicą województwa Krakowskiego, później gubernii Kieleckiej.

Staś. Co to województwo?

Ojciec. Do roku 1837 Królestwo Polskie było podzielone na ośm części, które zwano województwami; od tego zaś czasu zaczęto je zwać gubernijami, których liczba w roku 1845 została zmniejszoną do pięciu. Województwo Sandomierskie, czyli gubernija Radomska i województwo Krakowskie, czyli gubernija Kielecka zlały się w jednę guberniję Radomską; gubernija Lubelska i Podlaska, w jednę, Lubelską; województwo Mazowieckie (gubernija Warszawska) i gubernija Kaliska, w jednę Warszawską, a Płockie i Augustowskie województwa pozostały w swym dawnym składzie.

Jaś. Więc Kielce dziś już nie są miastem gubernijalnem?

Ojciec. Nie, są one miastem powiatowém, mającém 4 tysiące mieszkańców, a między tymi, wyobraźcie sobie, ani jednego żyda.

Jaś. Czy im niewolno tam mieszkać?

Ojciec. Niewolno; Kielce od niepamiętnych czasów należały do biskupów Krakowskich, którzy tu często przesiadywali; otóż jeden z nich nazwiskiem Kajetan Sołtyk przed 70ciu laty zakazał tam mieszkania starozakonnym, i odtąd mieszczanie Kieleccy ściśle praw swoich strzegą i pozwalają żydom tylko raz na tydzień przybywać na rynek dla kupna lub sprzedaży.

Jaś. Czy w Królestwie Polskiém są i inne miasta, w których żydom mieszkać niewolno?

Ojciec. Takich miast, w których wcale ich niema jest 16, i te z wyjątkiem dwóch czy trzech, wszystkie znajdują się w gubernii Radomskiéj. Kielce leżą w ślicznéj okolicy na wzgórzu, a zewsząd otaczają je wzgórza większe, obfitujące w kamień marmurowy. Blizko miasta znajdują się góry kruszcowe, a w tych kopalnie miedzi, ołowiu, galmanu. Mieszkańce Kielc trudnią się po większéj części rolnictwem; są jednak i tacy, którzy żyją z handlu i przemysłu. Z gmachów odznaczają się starożytnością: zamek biskupów krakowskich i kościół kollegiaty pod wezwaniem Panny Maryi, zbudowany przed siedmiuset laty. Kościół ten był przez lat kilkanaście katedrą biskupią, ale w roku 1818 stolica biskupów kieleckich przeniesioną została do Sandomierza, kollegijata jednak została w Kielcach i dyecezyja nazywa się dotąd nie Sandomierską, ale Kielecką. Szkoła wyższa realna o 6ciu klassach, urządzoną jest w Kielcach, odpowiednio do potrzeb miejscowych; ma ona obok ogólnego wykształcenia technicznego, przysposabiać krajowi ludzi zdolnych do pracowania w zawodzie górniczym. Dodać jeszcze muszę, że niedawno, bo w roku bieżącym zmarł w Kielcach Tomasz Zieliński, Naczelnik powiatu, który za życia zgromadził znakomity zbiór obrazów i innych dzieł sztuki. Nazwisko tego człowieka pamiętać powinniście, bo ta jego zasługa ważną jest dla kraju całego. W powiecie Kieleckim leżą *Chęciny*, miasto w dziejach Polski sławne.

Jaś. Czy to ztamtąd i ta waza pochodzi, co to u nas na stole stoi? bo tata mówił, że ona z marmuru Chęcińskiego.

Ojciec. Ztamtąd właśnie; Chęciny leżą pomiędzy dziewięciu marmurowemi górami, obfitującemi w piękne kamienie, w kruszce ołowiu i w różne farby. W tych górach urządzone były dawniéj kopalnie, w których znaczne bogactwa wydobywano. Dziś te kopalnie są nieczynne; nawet z pięknych marmurów chęcińskich bardzo mało u nas korzystają.

Jaś. Czy prócz waz można jeszcze co wyrabiać z marmuru?

Ojciec. O, wiele i bardzo wiele pięknych rzeczy, już to służących do ozdoby, już to dla ich trwałości i czystości. Weź tylko jatki rzeźnicze, w których na stołach drewnianych sprzedają mięso; chociaż rzeźnicy codziennie stoły te zmywają, ale drzewo nasiąka zapachem mięsnym, który po niejakim czasie staje się odrażającym, wtedy kiedy marmur podobnéj niedogodności nie przedstawia; daléj, po traktyerniach, garkuchniach, kawiarniach jakżeby od takiego zaprowadzenia stołów marmurowych zyskały porządek i czystość. A marmurowe schody, posadzki, pomniki, grobowce, ozdoby w kościołach lub domach zamożnych czyżby nie mogły być wyrabiane z marmuru chęcińskiego?

Jaś. A to czemuż nie wyrabiają u nas tych przedmiotów?

Ojciec. Czemu? smutno mi mój synu na to odpowiadać, bo trzeba o to obwiniać nas

wszystkich, żeśmy o własne dobro nie dbali, że nie umiemy cenić tych darów, któremi Stwórca nas tak hojnie obdzielił, że kochamy się więcej w rzeczach obcych, które cudzoziemcy do nas przywożą, niż we własnych, których mamy taką obfitość u siebie pod ręką. Wydobywanie marmurów dziś przeszło zupełnie w ręce żydów, którzy bez znajomości rzeczy biorą się do dzieła, obrabiają schody, posadzki, stoły, przyciski do papieru, ale nie umieją nadać im ani stosownego poloru, ani dobrego kształtu, i dlatego też mają tak mały odbyt, że zaledwo sami z kamieniarstwa utrzymać się potrafią. Przytém sprowadzenie tych przedmiotów jest bardzo drogie, daleko droższe niż sama ich wartość.

Jaś. Ale za to na miejscu w Chęcinach, to już chyba całe miasto jest z marmuru?

Ojciec. Gdzie tam; chociaż Chęciny liczą do 4ch tysięcy mieszkańców, ale z tych 3 tysiące jest żydów, a ci jak wiecie nie kochają się ani w czystości, ani w porządku, ani w ozdobach.

Jaś. Z czegóż są jeszcze głośne Chęciny?

Ojciec. Głównie z zamku, czyli raczej z sejmu, który kiedyś miał w nim miejsce. Zamek ten, którego ruiny dotąd stérczą na wyniosłej górze, panującej nad miastem, zbudowany na opoce czyli skale marmurowej, był mieszkaniem książąt i królów polskich. Tam to w roku 1331 król polski Władysław Łokietek zwołał sejm z książąt, rycerstwa i duchowieństwa polskiego ze wszystkich krajów, które do niego należały, a to w tym celu, żeby dawne prawa do porządku przywieść, nowe ustawy wydać i obmyśleć skuteczne środki do prowadzenia wojny z krzyżakami, o których wam już dawniej mówiłem.

Jaś. I czy to mu się udało?

Ojciec. O, udało się jak najlepiej. Król miał wtedy już 70 lat wieku, a chociaż nieszczęścia trapiły go w młodości, te jednak nietylko go nie znękały, lecz jeszcze większą moc jego duszy nadały. Drobniuchny ciałem ale wielki duchem, Łokietek kochał Polskę nad życie, i nieraz je dla jej szczęścia na wszelkie niebezpieczeństwa narażał. Zjazd czyli sejm chęciński jest bardzo pamiętny wdziejach naszych nietylko z tego, że nowe prawa ustanowił, że wszystkie kraje polskie pod względem sądowym pomiędzy sobą porównał, ale że z tego sejmu król i panowie zaraz wsiedli na konie i wprost udali się przeciw Krzyżakom, których potężnie zbili pod Płowcami.

Staś. O, pamiętam, pamiętam, pod Płowcami, co to koło miasteczka Radziejowa w powiecie Włocławskim.

Ojciec. Dobrze; widzę że nie napróżno wam mówię, skoro opowiadanie moje staracie się zachować w pamięci.

Jaś. Tak, tak, ale my pamiętamy i to, że tata powiedział, że gubernija Radomska składa się z ośmiu powiatów, a dotychczas wiemy tylko o trzech.

Ojciec. Wcale się nie wymawiam od opowiedzenia wam o dalszych. Otóż czwarty powiat jest Opatowski, w którym miasto powiatowe nazywa się *Opatów*.

Jaś. O Opatowie tata nam już mówił.

Ojciec. Nie, to wspominałem o Opatówku w powiecie Kaliskim gubernii Warszawskiej; miasto zaś powiatowe nazywa się Opatów, i ma do 4ch tysięcy ludności. Leży ono w nizinie pomiędzy górami, i dzieli się na dwie połowy: chrześcijańską i żydowską. Chrześcijańscy mieszkańce zajmują się po większej części rolnictwem, żydzi handlem i przemysłem. Z gmachów zasługuje na uwagę wspaniały kościół kollegijaty, którego prawdziwą ozdobą pod względem sztuki są grobowce Szydłowieckich, szczególniej zaś wspaniałym jest grobowiec Krzysztofa Szydłowieckiego, który Opatów nabył w roku 1518 od biskupów Lubuskich. O dwie mile od Opatowa leży miasteczko *Ćmielów,* liczące do półtora tysiąca mieszkańców. Wspominam o niém dlatego, że Ćmielów oddawna słynął wyrobami garncarskiemi, a i dziś jeszcze posiada znaczną fabrykę fajansu i porcelany.

Jaś. Więc to ztamtąd pochodzą talerze nasze, bo na odwrotnej ich stronie widziałem napis Ćmielów?

Ojciec. Te, któreś ty widział, wyrobione były w Ćmielowie; ale kraj nasz posiada nietę jednę fabrykę fajansu, ma on ich dwadzieścia dwie i te dostarczają mieszkańcom talerzy, półmisków, wazonów, garnuszków kamiennych i t. p. Prócz Ćmielowa wspomnieć wam muszę o mieście *Solcu,* leżącém także w powiecie Opatowskim.

Jaś. A wiem, wiem, do Solca jeżdżą chorzy pić wody mineralne.

Ojciec. To wcale nie ten Solec; ten, o którym ty mówisz, jest wsią leżącą w powiecie Stopnickim, a miasto Solec, o kilkanaście mil od niéj odległe, leży przy ujściu rzeki Krępianki do Wisły, i wsławione jest wskrzeszeniem Piotrowina.

Jaś. Jakiego Piotrowina? czy tego, co to kiedy kto blady i nędzny, to mówią: wygląda jak Piotrowin z grobu?

Ojciec. Tego samego.

Jaś. Jakże to było, niech nam tata opowie?

Ojciec. Biskup Krakowski Stanisław ze Szczepanowa, którego kościół nasz za świętego uznaje, a kraj cały dzień 8 maja pamięci jego poświęcony uroczyście obchodzi, nabył od Piotra z Janiszowa, wieś Piotrowin na przeciwległym brzegu Wisły leżącą. Ale gdy Piotr ten umarł, następcy jego zaprzeczyli sprzedaży i pozwali biskupa przed sąd króla Bolesława Smiałego, żądając powrócenia wsi jakoby nieprawnie zagarniętej. W dniu oznaczonym zjechał król do Solca, gdzie miał tę sprawę rozstrzygnąć; przybyli i krewni zmarłego Piotra i biskup Stanisław. Król zażądał od biskupa świadków, jako rzeczywiście wieś tę nabył, a świadków żyjących nie było. Biskup ufny w swoję niewinność i w miłosierdzie Boskie, z zupełną wiarą, że Bóg nie opuszcza w potrzebie tych, którzy wiernie Mu służą, zawołał głosem wielkim: „Pietrze! Pietrze! powstań z grobu, a daj świadectwo prawdzie słów moich". I otóż na jego wezwanie Piotr wstaje z grobu, blady i wynędzniały, przebywa rzekę idąc po wierzchu wody, a potwierdziwszy prawdę słów biskupa, odchodzi napowrót do grobu. Struchlał król, struchleli panowie, krewni Piotra odeszli zawstydzeni, a lud odtąd biskupa jeszcze za jego życia za świętego uważał.

Jaś. Więc właściciel nazywał się Piotrem, a nie Piotrowinem?

Ojciec. Piotrem; Piotrowinem zaś nazywała się wieś, która do niego za życia należała.

Jaś. A dawno to było?

Ojciec. O już temu będzie lat 800. No, na dziś dosyć; o innych miastach odłóżmy do innego razu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Marnotrawstwo lasòw.

Był las bez nas, będzie las i po nas, byłoto niedawno jeszcze ulubione przysłowie gospodarzy naszych wiejskich. którzy na przestrogi o szanowaniu lasów rozważniejszych ludzi żartowali sobie z próżnej ich, jak mniemali, uwagi. Tymczasem w ciągu głównie lat trzydziestu ostatnich już nasz kraj zagrożony jest brakiem drzewa w wielu okolicach, a wysoka jego cena najlepszym tego jest dowodem. Nietylko sprzedaż wielka na handel zagraniczny, wypalanie węgli, ale najgłówniej marnotrawstwo tego daru Bożego przez włościan przyczyniły się do wyniszczenia drzewa. Bo u naszych kmieci łupieży i kradzieży drzewa nie uważają za grzech, gdyż tego jak zwykle mówią, nikt sobie nie sieje, ani uprawia.

Niedawno przejeżdżałem przez wioskę na Mazowszu, którą przed laty znałem jako jednę z zamożniejszych. Oprócz urodzajnych pól, obfitych łąk i pastewników, był las kilka włók rozległy, mieszanego drzewa, jak: dębów, sosny, olszyny, brzeziny i t. p. Z wielkiem mojem podziwieniem w miejscu jego znalazłem tylko krzaki, zarośla, i ledwie kilkoletnią brzezinę. Chaty poniszczone, stodoły i obory bez ścian, wiele chróścianych lepianek z gliny, na miejscu porządnych budowli drewnianych. Kiedy zajechawszy przed karczmę, koniom wytchnąłem, ujrzałem, jak dróżką od krzyża szedł, podpierając się kijem starzec siwy, szepcząc pacierze. Poznałem w nim dawnego gospodarza Bartłomieja Sochę. Gdym mu się przypomniał, z radością mnie powitał, a kiedym zapytał go o powód upadku tej pięknej wioski, czy to nie z winy panów, starzec westchnąwszy głęboko, opowiedział mi pokrótce dzieje tej osady, które wiernie powtarzamy.

— Oj! nie panowie, nie dziedzice temu winni, na co wielmożny pan patrzy, ale sama gromada. Panowie dobrzy, ludzcy, nie pozwalali, żeby się ekonom i karbowi na skórze chłopów necili, to też gromada ufna w to, zaczęła po swojemu gospodarzyć. Starzy państwo pomarli, młody panicz dziedzic był także dobry jak jego rodzice; wyjechał do Warszawy na parę lat, surowo polecając ekonomowi dobre zachowanie się z narodem wiejskim. Gromada rąbała drzewo w lesie na potrzeby, z początku, czy to na porządek gospodarski,

czy podeprzeć chatę, stodołę, obórkę—potem nocami gdy mniej pilnowano, zaczęła opuszczać uprawę roli, a las rąbać, niszczyć dobra Boże i pańskie i wywozić żydom. Złapali jednego, drugiego sfantowali, to dobry pan zwrócić kazał.

Mówiłem nieraz gromadzie: jak to źle robicie gospodarze, bo las wytniecie, a co będzie z nami na starość i co będzie z dziećmi naszemi? W gromadzie było dużo dobrego ludu, ale dwóch: Jonek Gwizdacz i Piotrek Kurek, to najgorsi; oni to rej wiedli, a sami bór niszczyli najwięcej. Po kilku latach, ot widzi wielmożny pan, co się z lasem ba i ze wsią stało; w całej okolicy boru i drzewa niema. Nasz dobry pan dwa lata jak umarł, płakała go gromada cała, jeno Gwizdacz i Kurek nie żałowali i w dzień pogrzebu pojechali do lasu najpiękniejsze sosny i kilka dębów ostatnich wyciąć, rachując, że wszyscy zajęci żałobą i nabożeństwem, nie dopatrzą kradzieży. Ludzie nie widzieli tego, ale przed Bogiem się nic nie ukryje. Jak zwalali pierwszy dąb, Gwizdacz pijany, na śmierć zgnieciony upadającém drzewem, w lesie skonał, a Kurkowi nogę zgruchotało i poszedł w dziady. Ot Bóg ukarał choć późno, a gromadzie otworzyły się oczy i teraz sama strzeże i pilnuje już nie lasu, ale zarośli. Brzezinka jakoś się wzmaga, za 4 lub 5 lat będzie na jaki taki porządek gospodarski, a od błotka, to wielmożny pan zobaczy, że sośninka jak świeca prosta, już się dobrze zagaiła. Z dębami najtrudniejsza sprawa, boć to drzewo, co nim wyrośnie jako tako, to przeżyje niejednego człowieka.

Skończywszy swą opowieść, starzec smutnie opuścił głowę na piersi i głośno westchnął, jakby ulżywał sercu swemu.

— Szczęść wam Boże i gromadzie! rzekłem do starego Sochy, że choć późno przyszło upamiętanie. Oby tylko gromada wytrwała w dobrych zamiarach, które Bóg pobłogosławi.

Starzec się skłonił, jam go pożegnał i ruszyłem w dalszą drogę.

Roztropny chłopek.

Pewnego razu skradziono gospodarzowi najlepszego konia, jakiego miał w swojej stajence; biedny kmiotek udał się do sąsiedniego miasteczka, gdzie miał być targ na konie, w nadziei, że albo znajdzie swoję zgubę, albo kupi innego. Przeglądając stojące konie na targowisku, krzyknął z radości, poznawszy własnego; podbiegł też zaraz ku niemu, schwycił za uzdeczkę i zawołał na głos do ludzi: Oto jest mój koń, którego mi przed kilku dniami skradziono!

— Mylicie się gospodarzu, rzekł na to żyd, który przedawał tego konia; ta szkapina już rok jak należy do mnie, i są świadkowie, że kupiłem ją na łońskim jarmarku—może ona podobną jest do waszego konia, ale to nie wasza.

Gdy to żyd mówił, kmiotek zakrył oba oczy koniowi, i rzekł do żyda:

— No, kiedy ty tak dawno tego konia masz u siebie, to powiedzże mi, na które on oko jest ślepy?

Żyd, który istotnie był złodziejem, i nie miał czasu dobrze konia obejrzeć, zmieszał się na to zagadnięcie, lecz miną nadrabiając, rzekł na los szczęścia, że koń na lewe oko nie widzi.

— Aha! zawołał kmiotek, odsłaniając rękę, kłamiesz, bo koń dobrze widzi na lewe oko.

— Nu! podchwycił żyd, co to znaczy? ja się omyliłem, chciałem powiedzieć, że on na prawe oko jest ślepy; przecie dobrze znam mego konia.

Natenczas kmiotek odkrył i drugie oko konia i rzekł do otaczających chłopków:

— Patrzajcie gospodarze, oto jest dowód że żyd jest kłamca i złodziej, bo koń na oba oczy dobrze widzi; dlatego zaś zadawałem mu te pytania, aby łatwiej sam się wydał, że konia ukradł.

Wszyscy przytomni zaczęli się śmiać z tego dowcipnego figla, i chwalić roztropnego chłopka, poczem zaprowadzili żyda do władzy, która go uwięzić kazała. Konia zwrócono właścicielowi, winowajca zaś otrzymał zasłużoną karę.

Tak to, prawda jak oliwa zawsze wyjdzie na wierzch, a fałsz i kłamstwo tak jak szydło w worku, nigdy się długo nie utai.

W drukarni J. Ungra.— Wolno drukować.—Warszawa d. 28 lipca (9 sierp.) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.